

TOM I

Rozdział I

Przyszła nowy rok 1655. Styczeń był mroźny, ale suchy; zima tęga przykryła Żmudź grubym, białym kożuchem.

Pewnego wieczora siedziała panna Aleksandra w izbie czeladnej wraz z dziewczętami dworskimi. Dawny to był zwyczaj Billewiczów, że gdy gości nie było, to z czeladzią spędzali wieczory śpiewając pieśni pobożne i przykładem swym prostactwo budując. Tak też czyniła i panna Aleksandra, a to tym łacniej, że między jej dziewczkami dworskimi same były prawie szlachcianki, sieroty bardzo ubogie.

Panna Aleksandra wraz z krewną swą panną Kulwiecówną siedziały w pośrodku, a dziewczęta po bokach na ławach; wszystkie kądział przędły. Światło płomienia padało na ich młode, rumiane twarze.

Panna Aleksandra była to urodziwa panna o płowych włosach, bladawej cerze i delikatnych rysach. Miała piękność białego kwiatu. Żałobna suknia dodawała jej powagi. Siedząc przed tym kominem była tak w myślach pogrążona jak w śnie; zapewne nad sobą własną rozmyślała, gdyż losy jej były w zawieszeniu.

Testament przeznaczył ją na żonę człowieka, którego nie widziała od lat dziesięciu, a że dobiegała dopiero dwudziestu, więc pozostało jej tylko niejasne wspomnienie dziecinne jakiegoś burzliwego wyrostka, który za czasu swego pobytu z ojcem w Wodoktach więcej z rusznicą po bagnach latał, niż na nią patrzył.

Znała go jeszcze z opowiadań nieboszczyka podkomorzego, który na cztery lata przed śmiercią przedsięwziął był daleką i trudną podróż do Orszy. Wedle tych opowiadań miał to być „wielkiej fantazji kawaler, choć gorączka okrutny”. Po owym układzie o małżeństwo dzieci zawartym między starym Billewiczem a Kmicicem ojcem, miał ów kawaler przyjechać zaraz do Wodoktów akomodować się pannie; tymczasem wybuchła wielka wojna i kawaler zamiast do panny pociągnął na pola beresteckie. Tam postrzelon, leczył się w domu; potem ojca schorzałego i bliskiego śmierci pilnował; potem znów była wojna – i tak zeszyły owe cztery lata. Teraz od śmierci starego pułkownika upłynął już kawał czasu, a o Kmicicu słuch przepadł.

Wtem z zewnątrz doszedł głos dzwonka.

– Obacz, kto przyjechał – rzekła panna Kulwiecówna do obracającego żarna Żmudzina.

Żmudzin wyszedł z czeladnej, lecz po chwili pojawił się z powrotem i rzekł z flegmą:

– Panas Kmitas.

– A słowo stało się ciałem! – wykrzyknęła panna Kulwiecówna.

Prządkie zerwały się na równe nogi; kądziele i wrzeczona pospadały na ziemię. Panna Aleksandra wstała także; serce jej biło jak młotem, na twarz występowały rumieńce, ale odwróciła się umyślnie od komina, żeby wzruszenia nie okazać.

Wtem we drzwiach pojawiła się wyniosła jakaś postać w szubie i czapce futrzanej na głowie. Młody mężczyzna postąpił na środek izby i poznawszy, że się znajduje w czeladnej, spytał dźwięcznym głosem, nie zdejmując czapki:

– Hej! A gdzie to wasza panna?

– Jestem – odpowiedziała dość pewnym głosem Billewiczówna.

Usłyszawszy to przybyły zdjął czapkę, rzucił ją na ziemię i skłoniwszy się rzekł:

– Jam jest Andrzej Kmicic.

Oczy panny Aleksandry spoczęły na twarzy Kmicica, a potem znów wbiły się w ziemię; przez ten czas jednak zdołała panienska dojrzeć płową jak żyto, mocno podgoloną czuprynę, smagłą cerę, siwe oczy bystro przed się patrzące, ciemny wąs i twarz młodą, orlikowatą, a wesołą i junačką. On się zaś w bok ujął lewą ręką, prawą do wąsa podniósł i tak mówił:

– Jeszczem w Lubiczu nie był, jeno tu śpieszyłem do nóg panny łowczanki się pokłonić. Prosto z obozu mnie tu wiatr przywiał, daj Boże, szczęśliwy.

– To waćpan jeszcze swojego Lubicza nie widział?

– Czas na to będzie. Tu pierwsze służby i droższy legat, który naprzód chciałym odziedziczyć. Jeno mi się waćpanna tak od komina odwracasz, żem dotąd i w oczy spojrzeć nie mógł. Odwróć się waćpanna, a ja od komina zajdę!

To rzekłszy śmiały żołnierz chwycił nie spodziewającą się takiego postępku Oleńkę za ręce i ku ognisku odwrócił, ona zaś zmieszała się jeszcze bardziej. Kmicic puścił ją wreszcie i uderzył się po kontuszu.

– Jak mi Bóg miły, rarytet! Dam na sto mszy po moim dobrodzieju, że mi cię zapisał. Kiedy ślub?

– Jeszcze nieprędko, jeszczem nie waćpana – odrzekła Oleńka.

– Ale będziesz, choćym ten dom miał podpalić! Miłoś to taki legat dostać, niech mnie kule biją! A waćpanna moją jesteś z woli rodziców i po sercu.

– Po sercu, to jeszcze nie wiem. Ale my to jeszcze w czeladnie! Proszę do komnat. Po dłużej drodze pewnie się i wieczerza przygodzi – proszę!

Tu Oleńka zwróciła się do panny Kulwecówny:

– Ciotuchna pójdzie z nami?

Młody chorąży spojrzał bystro:

– Ciotuchna? – spytał – jaka ciotuchna?

– Moja, panna Kulwecówna.

– Toż ja mam w chorągwi towarzysza, który się zwie Kulwec-Hippocentaurus. Czy nie krewniak, proszę?

– To z tych samych! – odrzekła dygając stara panna.

Tymczasem wyrostek ukazał się ze światłem, więc przeszli do komnat gościnnych. Zaraz po ich odejściu prądko zbiły się w ciasną gromadkę i nuż jedna przez drugą gadać, a uwagi czynić. Strojny młodzian podobał się im bardzo, więc nie szczędziły mu słów, wzajemnie się w pochwałach przesadzając.

– Łuna od niego bije – mówiła jedna. – Kiedy wszedł, myślałam, że królewicz.

– A oczy ma jak ryś, aż nimi kłuje – odrzekła druga. – Takiemu się nie przeciw!

Tymczasem nakrywano co duchu w izbie stołowej, a w gościnnej siedziała panna Aleksandra sam na sam z Kmicicem, bo ciotka Kulwecówna poszła krzątać się wedle wieczerzy. Pan Andrzej nie zdejmował wzroku z Oleńki i oczy iskrzyły mu się coraz bardziej, na koniec rzekł:

– Są ludzie, którym majątność nad wszystko milsza, inni za zdobyczą na wojnie gonią, inni się w koniach kochają, ale ja bym waćpanny za żadne skarby nie odda! Dalibóg, im więcej patrzę, tym większa ochota do żeniaczki, żeby choć i jutro! Już tę brew to chyba waćpanna korkiem przypalonym malujesz?

– Słyszałam, że tak płocze czynią, ale jam nie taka.

– A oczy jakoby z nieba! Od konfuzji słów mnie brakuje.

– Nie bardoż waćpan skonfundowany, gdy tak obcesem na mnie nastajesz, aż mnie i dziwno.

– Waćpanna mnie na nitce będziesz wodzić!

– Oj, niepodobny waćpan do takich, których na nitce wodzą! Najtrudniej to z niestatecznymi. Siedziałeś waćpan cztery lata, aniś tu zajął, to siedź i teraz!

– Powiem szczerze. Ojciec nieboszczyk napędzał, żeby to jechać, a ja zawsze jedno: Mam czas! Żeniaczka nie przepadnie! Nie przeciwiełem się woli ojcowskiej, ale chciałem wpięć wojny zażyć. Teraz dopiero poznaję, że byłem głupi, bo mogłem i żeniaty na wojnę iść, a tu mnie delacje czekały. Chwała Bogu, że całkiem mnie nie usiekli. Pozwól waćpanna rączki ucałować.

– Lepiej nie pozwolę.

– Tedy nie będę pytał. U nas w Orszańskim mówią: „Proś, a nie dają, to sam weź!”

Tu pan Andrzej przypił się do rączki panienki i całować ją począł, a panienka nie wzbraniała z nadto, żeby nieżyczliwości nie okazać.

Wtem weszła panna Kulwiecówna i zaprosiła na wieczerzę.

Panna już była po wieczerzy, więc tylko pan Kmicic zasiadł i jeść począł z tą samą żywością, z jaką przedtem rozmawiał. Oleńka spoglądała nań z boku, rada, że je i pije, potem zaś, gdy nasycił pierwszy głód, zaczęła znów wypytować:

– To waćpan nie spod Orszy jedziesz?

– Bo ja wiem skąd?! Dziś tu bywałem, jutro tam! Takem pod nieprzyjaciela podchodził jako wilk pod owce i co tam można było urwać, to urywał.

– A żeś się to waćpan ważył takiej potężde oponować, przed którą sam hetman wielki musiał ustąpić?

– Żem się ważył? Jam na wszystko gotów, taka już we mnie natura!

– Szczęście, że waćpan nie zginął.

– Ej! nakrywali mnie tam czapką, ale co nakryli, to musiałem i gdzie indziej ukąsić. Naprzykrzyłem się tak, że jest cena na moją głowę... Wyborny ten półgęsek!

– W imię Ojca i Syna! – zawołała z nieudanyim przerażeniem Oleńka spoglądając jednocześnie z uwielbieniem na tego młodziana, który razem mówił o cenie na swą głowę i o półgęsku.

– Chybaś miał waćpan potęgę wielką do obrony?

– Miałem dwieście swoich dragoników, bardzo przednich, ale mi się w miesiąc wykruszyli. Potem z wolontarzami chodziłem, których zbierałem, gdzieś mógł, nie przebredzając. Dobrzy pachołkowie do bitwy, ale łotry nad łotrami! Siedzą teraz w Lubiczu, bo co miałem innego z nimi robić?

– A gdzież waćpana laudańscy ludzie znaleźli?

– Oni mnie znaleźli, gdy i tak już do Poniewieża na hiberny szedł. Harde jakieś szaraki! Chciałem im dać nagrodę za fatywę, to jeszcze się na mnie zachnęli i już przymawiać, że to może orszańska szlachta munsztułuki bierze, ale laudańska nie! Bardzo mi szpetnie przymawiali! Co ja słysząc myślę sobie tak: nie chcecie pieniędzy, każę wam dać po sto bizunów.

– Jezus Maria! i waćpan to uczynił?

– Nie uczynilem, choć się dusza zawsze we mnie na takich szlachetków przewraca. Ale sobie pomyślałem: okrzykną mnie w okolicy za gwałtownika i jeszcze przed waćpanną obmówią.

– Wielkie to szczęście! – rzekła oddychając głęboko Oleńka – bo inaczej na oczy bym waćpana widzieć nie mogła.

– A to jakim sposobem?

– Mała to szlachta, ale starożytna i sławna. Dziaduś nieboszczyk zawsze się w nich kochał i na wojnę z nimi chodził. Wiek życia razem przestężyli, a czasu pokoju w dom ich przyjmował. Stara to domu naszego przyjaźń, którą waćpan szanować musisz. To poczcwi ludzie, inaczej by ich dziaduś opiekunami moimi nie czynił.

Pan Andrzej zdumiał się i otworzył szeroko oczy.

– Ich opiekunami waćpanny dziaduś uczynił? Wszystką szlachtę laudańską?

– Tak jest. Waćpan się nie marszcz, bo nieboszczyka wola święta. Jeśli im ojcem za przykładem dziadusia będziesz, jeśli ich nie odepchniesz, pychy nie okażesz, to nie tylko ich, ale i mnie za serce ujmiesz. Będę razem z nimi waćpanu dziękowała, całe życie... całe życie, panie Andrzeju.

Głos jej brzmiał jak prośba pieściwa, ale on chmurny był i odrzekł z wyniosłością i dumą:

– Tegom się nie spodziewał! Szanuję wolę nieboszczyka, ale gdym tu już raz nogą stanął, nikt inny prócz mnie opiekunem nie będzie. Nie tylko owe szaraki, ale i sami Radziwiłłowie birżańscy nic tu do opieki nie mają!

Panna Aleksandra spowaźniała i odrzekła po krótkiej chwili milczenia:

– Źle waćpan czynisz, że się dumą unosisz.

– Ślub wszystko zakończy. Nie ma się o co spierać, niech jeno siedzą spokojnie i nie wtrącają się do mnie. Przyzwól waćpanna na ślub prędko, to będzie najlepiej!

– Nie wypada teraz o tym mówić w czasie żałoby.

– Wyszcnę jak trzaska. Ale się już nie gniewajmy. Jużeś waćpanna tak zaczęła na mnie surowie spoglądać jak na winowajcę. Com ja winien, kiedy natura we mnie taka: gdy mnie gniew na kogo uchwyci, to bym go rozdarł, a gdy przejdzie, to bym zszyl! Dajże jeszcze rączyny ucałować, moja słodka dziewczyno! Dalibóg, okrutnieś mi do serca przypadła. Tak mnie sentyment rozebrał, że nie wiem, jak do owego Lubicza trafię, któregom jeszcze nie widział.

– Dam waćpanu przewodnika.

– Ej, obejdzcie się. Już ja przywykłem tłuc się po nocach. A tam mnie Kokosiński z kompanami czeka... wielcy to familianci u nas Kokosińscy, którzy się Pypką pieczętują... Tęgo niewinnie bezecnym ogłoszono za to, że panu Orpiszewskiemu dom spalił i dziewczkę porwał, a ludzi wyciął. Godny towarzysz! Dajże jeszcze rączyny. Czas jechać! Miłujesz że mnie choć na obwinięcie palca?

– Kiedy indziej odpowiem. Przecie będziesz mnie waćpan odwiedzał?

– Co dzień! Chybaby się ziemia pode mną rozpadła. Niech mnie usieką!

To rzekłszy Kmicic wstał i wyszli oboje do sieni. Sanki czekały już przed gankiem, więc ubrał się w szubę i żegnać ją począł prosząc, by do komnat wróciła, bo z ganku zimno leci.

Po chwili cicho się zrobiło w Wodoktach. Panna Aleksandra przeszła do izby sypialnej i kłękła do pacierzy. Potem zaczęła się rozbierać, gdy drzwi skrzypnęły i weszła ciotka Kulwiecówna ze świecą w rękę.

– Strasznieście długo siedzieli! – rzekła. – Grzeczny wydaje się kawaler. A tobie jak się udał?

Panna Aleksandra zrazu nic nie odpowiedziała, jeno przybiegła do ciotki, zarzuciła jej ręce na szyję i rzekła:

– Ciotuchna, aj, ciotuchna!